№ 51. Warszawa, dnia 11 (23) Grudnia 1897 r. Rok XXXIII.

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

BOŻE NARODZENIE.

POGAWĘDKA.

Ostatnich dni kilkanaście bieżącego miesiąca były obfite w wypadki głębszej natury. Ubiegłej niedzieli obchód jubileuszowy Adama Pługa, miał kilka momentów tak ważnych, że nie „Pogawędkę“ o nim, lecz cały artykuł napisać można i trzebaby było. Czy który z uczestników uroczystości podejmie się tej pracy wdzięcznej, czy które z pism wzbogaci swoje łamy całkowitem wspomnieniem tej chwili pięknej—nie wiem i wątpię nawet; co się zaś nas tyczy, to nie chcąc zawodu robić szanownym czytelnikom i czytelniczkom naszym—powiemy od razu, że musimy się ograniczyć na prawie nic nieznaczącej wzmiance.

Dla czego?

Czuły słuchacz jeśliby przypierał mnie do muru, wtedy, wykręcając się jak piskorz, powiedziałbym: „mój szanowny,“ „mój kochany,“ „mój złocisty“ taki, a taki, panie! orząc dzień i noc piórem, czuję okrutne wyczerpanie nerwowe, palce mi już nie służą, łeb boli, stalówka się popsuła—albo, zwalając przewinienia własne na barki obce, co najwygodniej, winę całą złożyłbym na szanowną kierowniczkę „Bluszczu“ i szepnąłbym od niechcenia: „miejsca mi nie dano, podsuwając myśl delikatnie, ażebym przed zbliżającemi się świętami nie kładł zbyt wiele balastu do sprawozdań kronikarskich, bo jeszcze o tem, to o tem napisać potrzeba, ten a ten dział wypełnić, z tego zaś wynika, że pogawędka, której zadaniem jest nie o jednym tylko przedmiocie mówić, powinna być ścisła, zwięzła, a zatem, o ile tylko jest to możebne—krótka.“

Jesteście zadowoleni?

Nie!

Słusznie—ale, wierzcie sobie, czy nie wierzcie mojemu tłumaczeniu się, przyparty do muru, nic wam innego nie powiem, tłómacząc się wykrętnie:

„Nie jam był winien, lecz lilija winna!

O, lilijo! czysty, biały—nieskalany niewinności kwiecie, ileż to zdrad i uczynków niegodziwych, śnieżystą twoją okrywa się szatą!

Adam Pług obchodził jubileusz pięćdziesięcioletniej, niezmordowanej, służby na polach różnych jako poeta, powieściopisarz, dziennikarz i społecznik, obywatel kraju i cichy jałmużnik, którego prawica nie wiedziała nigdy, co dawała lewica.—W Pługu uczczono nie tylko pisarza, lecz może więcej obywatela, który z raz obranej drogi, drogi prostej, jasnej, na której stał jeden tylko drogowskaz: Z wiarą w przyszłość!—nie zszedł nigdy; który na ołtarzu swojego życia, postawiwszy ideał piękna i prawdy—na chwilę oczu swych od niego nie odwrócił—i—choć szumiące prądy nowych wiar i przekonań rzucały się na bóstwo jego miłości—on, cicho, spokojnie patrzył na te rwące się fale, klątw im nie rzucał, zdawał się mówić tylko: „Jakąkolwiekby sobie drogę obrałyście, przyjdziecie do mnie, o fale!“—I fale przyszły—bo prawda jest jedna, piękno jedne, tak, jako jeden tylko jest Bóg.

W salonach redakcyi „Kuryera Warszawskiego,“ zebrały się tłumy płci obojej w strojach odświętnych. Parno było i duszno, rozmawiano głośno, bo jeszcze jubilata nie było. Na hasło dane: Pług idzie! ucichli wszyscy—a grono poetów utworzyło szpaler, pomiędzy którym, prowadzony przez Tadeusza Korzona i Jana Karłowicza, przeszedł Pług Adam i usiadł na wyznaczonem sobie miejscu, pod zielenią krzewów, girland wieńców otaczających portret jubilata pędzla malarza Szwojnickiego. U szczytu, w otoczeniu nieśmiertelników, widniała spleciona z zieleni litera L. cyfra rzymska oznaczająca *pięćdziesiąt*.

Zaledwo szanowny bohater dnia, w progu stanął, okrzyk się rozległ: *Vivat*, a Lutnia zaśpiewała: Żyj nam!... Przy dźwiękach pieśni, szedł starzec, tchnący młodością ducha do karmazynowym aksamitem wybitego fotela, który był w tej chwili tronem zasług i pracy. Pierwszy przemówił radca Tow. kred. ziem. p. Aleksander Kłobukowski, witając go w imieniu zebranych i hołd składając jego zasługom obywatelskim. Następnie Kazimierz Gliński mową wiązaną w imieniu poetów, i wszystkich ziem kraju uczcił Piewcę i dobrego Włodarza, który był wzorem wiary i pracy. Maryan Gawalewicz scharakteryzował Pługa jako powieściopisarza, Franciszek Nowodworski jako dziennikarza, a pani Walerja Marene—Moszkowska w imieniu kobiet złożyła mu wyrazy czci za opiekę jaką otaczał młodociane talenty niewieście. W imieniu sztuki przemówił Wojciech Gerson, następnie odczytał Kazimierz Julian Jasiński przesłany przez Deotymę i wygłosił toast wierszem od siebie. Ale szmer zrobił się w sali, gdy do Pługa zbliżył się Aleksander Świętochowski. Rozum stanął przed sercem—i złożył hołd sercu. Wspaniała mowa Świętochowskiego była wypadkiem dnia, „historycznym momentem“ jak ktoś w uniesieniu zawołał. To też grzmot oklasków ze wszystkich odezwał się sal.

Nie dziw!

Była to chwila podniesienia duchowego, zespolenia się rozumu z sercem, wiedzy z wiarą, w imię jednego ideału, któremu sprzeniewierzyć się nie wolno.

Na końcu głos zabrał Pług: Przyjęcie go rozrzewnia, uczczenie zasług, do których się nie przyznawał, zawstydza. Po co ten jubileusz, ta uroczystość? Tylu innych, zasłużonych stokroć więcej mężów, nie odebrali jeszcze hołdu, a on, „lichy pismak“ dostępuje czci takiej!

I brzmiały słowa szczere, proste, jak szczere i proste było życie Pługa.—Nie była to skromność udana, lecz przekonanie płynące z głębi jego duszy gołębiej... Ale—czcigodny jubilacie!—cokolwiek bądź byś mówił, wiedz, że szczere i zasłużone, było to uznanie zasług twoich przez kraj cały. „Zaraźliwą jest wiara i praca, a Tyś zarażał i pracą i wiarą.“—i to twój wieniec chwały, a wieniec nieśmiertelny!

Ogromnej liczby telegramów i wierszy przysłanych, odczytać nie było sposobu. Prześliczny był wiersz Bożydara, kłaniającego się do stóp hospodyna. Uroczystość przeciągnęła się do północy, a ten kto był na niej, nie zapomni tej chwili do końca swojego życia.

Dla czego nie mogę pogawędki mojej z wami, czytelnicy, na tych słowach zakończyć? dla czego mi w myśli, po tej podniosłej, a uroczystej chwili, snuje się mara smutku i chwilę szczęśliwą zatruwa?

Dla czego?

Oto odpowiedź:

W 47 roku życia, pełen talentu i marzeń zmarł na obczyźnie ś. p. Wacław Pomian (Jan Komierowski). Tak niedawno jak ściskaliśmy zacną dłoń kolegi, tak niedawno, jak słyszeliśmy z ust jego płynącą pieśń szczerego natchnienia, ową—tak nazwaną „Sonatę wiosenną“—a dziś, cyprys grobowy, kołysze się nad głową poety i wzdycha i patrzy w stronę, gdzie światło życia ujrzał pieśniarz smutny.

Pomian, dla poratowania zdrowia, przed paru miesiącami niespełna za poradą lekarzy wyjechał do Włoch. Ale choroba nerwowa przybrała tak groźne rozmiary, że wezwana żona ś. p. Wacława, pojechała do męża po to tylko, by przewieść go do Wiednia, gdzie d. 4 Grudnia r. b. rozstała się z nim tam na zawsze.

Pomian nosił się z myślą wielkiego poematu, w rodzaju Homerowskim. Pociągały go bóstwa prastarej Hellady, myty greckie, piękno i prostota bogów Olimpu, kochających więcej ziemię niż niebo swoje. Kilka pieśni z tego, na rozmiar wielki osnutego, poematu, odznaczają się niezrównaną pięknością formy i niezrównaną rzeźbą rysunku.

Czy nie godziłoby się, panowie nakładcy, te perły zebrać i naszemu światu pokazać?—Wychodzą rymy i rytmy, niedojrzałe kwilenia piskląt, zawalają półki księgarskie rzeczy niezdarne, podszywające się pod poezyi miano—a to, co ma prawo do jej imienia, ukrywa się nieznane, zapomniane częstokroć. Przed paru laty umarł takiej miary poeta, jakim był Włodzimierz Stebelski—i któż dziś wspomni o nim? kto zbiera rozsypane po pismach przeróżnych arcydzieła jego ducha!—Mówię: „arcydzieła“ tak! bo każdy poety utwór (nie rymopisa)—który w twórczości jego był alfą i omegą, granicą, po za którą przestąpić już nie mógł—jest, w stosunku do prac innych, uboższych, bledszych—arcydziełem.—Brak u nas spółki wydawniczej, poetom poświęconej, — a przecie w poezyi tylko tkwi moc, w tej harmonii rymów i słów jest iskra boża, płomień rozpalający, potęga, co ziemię z niebem sprzęga.

Czuję smutek.

A oto, za chwilę—gwiazda Betleemska na szafirze nieba zabłyśnie. W domach wszystkich śnieżnym zabieli się obrusem stół Wigilijny, zajarzą się chojenki świateł tysiącem, krzyk dzieci napełni powietrze, da się słyszeć szmer łamanego opłatka i życzenia, życzenia, życzenia. W dniu tym zawiść zwija skrzydła, gniew ustępuje z dusz ludzkich, nieprzyjaciele wyciągają dłoń do zgody, przebaczają się urazy wszystkie, winy wszystkie... Anioł boży kołysze się w powietrzu i słowa miłości i błogosławieństwa śle ludziom, błąkają się zapomniane cienie wspomnień dawnych, przeszłość się odzywa, otwiera się wielka księga lat już ubiegłych, przed tymi, co mają te lata, przed tymi zaś, do których życie należy—rozkładają się karty białe, na których ludzie, czas, otoczenie—Bóg wie głoski jakie postawią, Bóg wie, co napiszą?

Wiele już lat rozmawiam z wami, czytelnicy i czytelniczki, nie po raz to pierwszy życzenia wam z miejsca tego zasyłam—i dziś, jak dawniej, chlebem anielskim z wami się dzielę, i dziś, jak dawniej, niosę wam życzenia wiary i wytrwałości, siły i niezmożonej potęgi ducha!

??

Nad starą księgą.

Nad starą księgą pochyliłem skronie
I oto czuję, że mi serce płonie
I zdaje mi się, że z tych kart zmurszałych,
Zwolna podnosi się promienne słońce
I, że mi dusze w blaski stroi lśniące
Że ognie złote krzesi w mojem łonie
I pleśń z mych pragnień ociera zbutwiałych...
Nad starą księgą pochyliłem skronie.

Później odjąłem i przymknąłem oczy:
Rycerzy, mnichów tłum przedemną kroczy
A każdy patrzy w jakąś gwiazdę złotą
I idzie za nią wytrwale i wiernie,
Przez róże wonne, przez kolące ciernie
I żadna mgła mu gwiazdy tej nie mroczy
Wszyscy z miłością idą i tęsknotą...
Od kart odjąłem i przymknąłem oczy.

A później chciałem, jak owi rycerze
Iść drogą życia w miłości i wierze
Więc oczy w niebo zwróciłem stęsknione
I powiesiłem je na czarnej chmurze.
Gwiazd poszukując złotych na lazurze,
Ale za twarde były chmur pancerze,
Wzrok mój nie przedarł się przez mgieł oponę...
A chciałem wierzyć, jak owi rycerze!

Nad starą księgą pochyliłem skronie,
Czuję, że w smutku serce moje tonie
I zdaje mi się, żem przyniósł nie w porę
Żal i tęsknotę na tę smutną ziemię,
Co w szarej pleśni i popiele drzemie—
I w melancholii posępnej koronie
Już do snu serce układa się chore...
Nad starą księgą pochyliłem skronie.

Włodzimierz Perzyński.

Nowe książki dla młodzieży i dzieci.

Wydawnictwa gwiazdkowe dla młodzieży tak się w tym roku jakoś opóźniły, że nie mając całości ich przed sobą, trudno w sprawozdaniu trzymać się jakiegoś ugrupowania materyału, i trzeba tylko kolejno je omawiać jak nam do rąk się dostają. Zaczniemy od książki, która jest dalszym ciągiem pracy rozpoczętej w roku zeszłym przez panie J. Chrząszczewską i J. Warnkównę. Mówię o „Roku czytania,“ części drugiej. (Warszawa, Maurycy Orgelbrand. 1898). Spory tom zawiera bardzo dużo doborowo zebranej treści, ułożonej w tym samym rozkładzie i porządku, co w tomie pierwszym, z tą tylko różnicą, że są tu już rzeczy trudniejsze, utwory już nie dla dzieci, tylko dla młodzieży dojrzalszej. W książce jest duży postęp, co do umiejętnego właśnie wyboru rzeczy, a mianowicie niektóre działy literackie są doskonale zestawionie jako mające w wyjątkach i urywkach dawać obraz danego rodzaju prozy czy poezyi. Tak n. p. starannie jest opracowany dział „Obrazków, życiorysów, wspomnień“ i t. p. dalej dział „Z przyrody i hygieny,“ oraz „Proza dydaktyczna.“ Z poezyi dobry jest wybór ballad, śpiewów historycznych, oraz bajki i satyry. W prozie zaś mniej zajmująco wyszły działy geograficzne, etnograficzne, ze sztuk pięknych i powiastki fantastyczne. Nie spotykamy wcale nazwisk Kremera, Libelta, Supińskiego, Goszczyńskiego, Hołowińskiego, Szujskiego i wielu innych dawnych wielkich Mistrzów, których młodzi autorowie nie zastąpią, jeśli chodzi o przykłady wyborowe dla uczących się. W poezyi, w dziale pieśni, sonetów i wogóle drobniejszych utworów też zadużo może współczesności kosztem pominięcia wzorowej poezyi najwybitniejszych pisarzy idących tuż za wielkimi geniuszami. Nie jest to jednak zarzut, gdyż wybór jest dobry i właściwy, jest to tylko pobieżna uwaga, że mógłby być jeszcze lepszy. Książkę tę w obu jej częściach gorąco polecić można dla młodzieży, jako jedną z najsympatyczniejszych prac, jakie się w ostatnich czasach pojawiły, prac zalecających się wyborną treścią i miłym ładem, o co tak trudno w podręcznikach, gdzie często fantazya psuje porządek a metoda przygniata wyobraźnię. Żeby nie odchodzić od utalentowanej panny J. Chrząszczewskiej przerzucamy oto jej nową powieść dla młodzieży p. t. „Plon.“ (Warszawa. M. Orgelbrand. 1898). Dziedziny bujnej, jaskrawej fantazyi uprawiała młoda autorka najchętniej do tej pory i w świecie gwiazd i wróżek obracała się jak w domu, swobodnie i umiejętnie; w pracy najświeższej zstąpiła na ziemię i oto równie dobrze, zręcznie i serdecznie stąpa po kmiecym zagonie, zagląda w chłopskie nędzne chaty i w chłopskie ciemne serca, szuka w nich szczerego złota, zaleca „to złoto szlifować,“ idzie w ślad za kmiecem sumieniem i przykłada doń probierz pokus, wydarzeń, nędzy, smutku, sieroctwa, tułactwa, i w końcu dochodzi do wniosku w swej pięknej powieści, że jeśli nie wszystko, to wiele zrobić można, byleby w tę rolę dusz naszych zaniedbanych współbraci rzucać plon miłości, plon światła, dobra, prawdy, istotnej sprawiedliwości, to się poprawią nieporozumienia społeczne i znów wyprostuje się ścieżka ode dworu białego do szarej chałupy i żyć się będzie razem na tej samej ziemi, razem duszą i sercem, a ziemia „gdy ją ko„chasz, każde ziarno odda ci w czwórnasób, każ„dy trud weselem nagrodzi, każdą mękę spo„kojem. Trzeba jej służyć wiernie i wytrwale... „bo ona już wie co robi, ta macierz wszystkiego „co żyje.“

Takie plony i takie zasady zasiewa we dworze i w chatach nauczycielka, od której rozpieszczona dziewczynka uczy się nie tylko historyi i geografii lecz „ważniejszych rzeczy“ to jest kochania ludzi, miłości społecznej, poczucia obowiązków i tej wspólności doli i niedoli, która wiąże ludzi ze sobą tak dobrze jak i szczęście, a spaja w jedną pożyteczną i świadomą siebie siłę. Śliczne wydanie jest pożądanym dodatkiem do jasnej duszy, jaka w tej książeczce mieszka, a która niezawodnie znajdzie bardzo licznych i gorliwych czytelników, czego bardzo „Plonowi“ życzymy, winszując autorce tej nowej pracy na swojskim zagonie, w rzeczywistym świecie ludzkich walk, cierpień i radości dokonanej.

Księgarnia Arcta, pamięta bardzo gorliwie o książkowej gwiazdce dla młodzieży i dzieci. Mamy już kilka nowych książeczek. „Wycieczka w góry“ przez dobrą naszą znajomą w dziale literatury pedagogicznej, Teresę Jadwigę, prowadzi nas w góry, w urocze widoki Ojcowa, pełne legend, historycznych podań i pięknych wrażeń przyrody, a wśród tego otoczenia gromadka dzieci z mądrym dziaduniem na czele, zbiera te wrażenia, powiastki, wspomnienia i wraca do domu z pokrzepionem zdrowiem i świeżym, zdrowym a swojskim zapasem wiadomości w pamięci. Ładna i swojska książeczka dobrze przygotuje dzieci do prawdziwej wycieczki w piękny świat Ojcowa i jego okolicy. Wielka poetka i wielki artysta złożyli się na upominek gwiazdkowy dla maleńkich. W „Nowem Latku“ (Warszawa, Gebethner i Wolff.) są szeregi jaskółek, bocianów, kwiatów, kłosów, szeregi wiejskich chłopiąt, drużbowie i grajek, i legendy i rzeczywistość, i baranki i wilki, i dzieci i niedźwiedzie, i zima i starość, i wiosna i młodość, i lato, żniwo, i praca, i całe latko, cały rok w przyrodzie i w duszy ludzkiej. Jest i Wisła i Flisaki, i kosa i stary oracz i ziarno w ziemię rzucone i kwiaty, które P. Jezus siał przechodząc i stara piosnka Babuni, cudna piosnka przy kołowrotku, równiutka jak nić, mocna jak len, a długa jak życie i dłuższa niż życie, kędyś w wieczność idąca...

— Miłujcie się... Człek każdy brat...
Czyń dobro, co w twej mocy...
Miłością stoi cały świat
I zakon i prorocy;
Okryj nędzarza! Daj mu jeść,
Gdy brat twój łaknie chleba!
Jak krótkie prawo! Jaka treść,
Od ziemi—aż do nieba!
I toć jest drogą wszystkich dróg:
Przez ciemność, męki—w słońce!—
Babusia szepce: Daj to Bóg!
I ściera łzy gorące...

Wielka poetka i wielki artysta—dla maleńkich, jak umieli tak uczynili... A jak? Zobaczcie sami. Co to opowiadać słowem sprawozdania jak to lecą jaskółki, bociany na wiosnę, żórawie w jesieni, jak to się przędzie lniana nić poezyi, śliczna, a łatwa—to trzeba widzieć i czytać... zatem—cieszcie się dzieci!

Szczęsna.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Rozmowa z panem Mateuszem, następnie z matką, podrażniła Pawła, stuknięcie zaś w szybę przez gałąź wiatrem poruszoną, wydało się mu jakby ostrzeżeniem, groźbą tajemniczą, która, gdyby się spełniła, rzeczywiście byłaby okrutną. W innych warunkach nie zważałby on na ten dźwięk szkła cichy; wiatr, wprawdzie bardzo lekki, kołysał drzew liśćmi, lecz nie był w stanie wiotkich nawet gałązek, rosnącej pod oknem akacyi białej, poruszyć—ale mogła silniejsza fala przepłynąć i trącić kiścią kwiatu, która o tafle uderzyła. Niejednokrotnie przecie krzew bliski ocierał się o szybę okna i szkło zabrzękło cicho;—śmiałby się, gdyby kto wtedy wspomniał o duchu, lub jakiebądź ostrzeżenie w tem widział—lecz teraz doznał uczucia zabobonnego strachu i choć nic nie odpowiedział na spokojną uwagę matki, pot zimny operlił mu czoło a serce uderzyło tak, jak wtedy bije, gdy trwoga do niego wchodzi.

Powolnym krokiem, tłumiąc ciężki oddech piersi, przechadzał się wzdłuż pokoju, a obraz, który przed chwilą słowami nakreślił, w coraz wyraźniejszych barwach zarysowywał się przed nim, przybierał rozmiary potężne, tchnął groźbą, odbierającą spokój zmysłom.

Czas, oddalenie—to warunki pod jakiemi pamięć słabnie. Paweł wiedział, choć nie szepnęły mu nigdy usta Jadwigi, że na tę pamięć cień szary już upadł, że on stał się poniekąd przyczyną tego lekkiego zatarcia się wspomnień, które już dzisiaj nie przychodziły same, lecz siłą woli wywoływane były. Gdyby kto o tem powiedział Jadwidze, broniłaby się przeciw temu—lecz ta gorąca obrona byłaby już dowodem, że się w zwycięztwo nie wierzy. że się tylko obowiązek spełnia, że słabą dłonią trzyma się już nitkę zadzierżgniętą gdzieś w przeszłości. Kilka szeptów miłosnych, kilka zaklęć serdecznych, a wątła nić-by pękła, gęsta mgła zapomnienia oddzieliłaby teraźniejszość od przeszłości i ramię jego otoczyłoby drżącą Jadwigi kibić, chylącą się po szczęście, do którego tęskni, po rozkosz, której pragnie.

Sen cudny!

I Paweł czuje, że w nim jest moc teraz snu tego stać się panem, że on jest rozporządzicielem teraz swojego i jej szczęścia zarazem. Ale oto, gdy świat znika przed nimi, gdy pod stopami rozkwitają róż pęki a gwiazdy wypryskują z błękitów:

— Jestem!—odzywa się głos Gustawa... Dlaczego jestem? ciężkie, jak głaz, pytanie wnet pada.

— Kochałem!—szepce Paweł.

— A jam czy nie kochał?—odpowiada widmo.

— Ta, którąś kochał zapomniała o tobie.

— A czyś starał się, by o mnie pamiętała?

— Nie znasz-że potęgi czasu, niszczącej oddalenia władzy?

— Czas!—szepnie widmo. — Na barki spójrz moje, na stopy i ręce sinemi oznaczone podwiązkami— — to czas, którego ty nie znasz!... Oddalenie?... A wiesz dlaczegom się oddalił? Ty miałeś kwiaty łąk, lasów zapach; ucho twe pieścił dźwięk znajomej mowy, ziemię swoją, niebo swoje miałeś... Ja nic—prócz wspomnień, nic—prócz jej miłości, nic—prócz niej tylko!...

— O, matko! — szepnął Paweł, stając przed Rzutkiewiczową, badawczem okiem patrzącą na syna. Nagle na klęczki padł, zanurzając głowę w dłoniach boleśnie skurczonych i czoło o kolana matczyne wspierając, załkał jak dziecko— —

Łzy popłynęły i z oczu Rzutkiewiczowej, drżące dłonie położyła na głowie jedynaka i cichym przerywanym szeptem zaczęła sączyć balsam ukojeń w zbolałe serce syna...

— Uspokuj się, Polu—uspokuj się! Widzisz jak kochasz, jak ci trudno rozstać się z myślą, że możesz Jadwisię stracić?... Nie mówiłabym ci nic, synu, nie wspomniałabym o niczem, gdyby jedynie tylko twoje serce kochało, gdyby oddźwięku w sercu drugiem nie znalazła. Starałabym się umysł twój zwrócić w inną stronę, oddalić od przedmiotu ukochanego, ranę serdeczną zagoić, ale, wierz mi, Polu! że razem dwie rany krwawić się będą, dwa serca cierpieć.

Paweł uspokoił się, płacz w piersi stłumił i—nie puszczając dłoni matczynej ze swej ręki—powstał z klęczek i usiadł przy Rzutkiewiczowej, która z łagodnym ale poważnym uśmiechem na ustach, mówiła dalej:

— Szlachetne masz serce, lecz za granicę praw życia zadraźliwe sumienie je wyprowadza. Miłość się nie nakazuje lecz też się i odpędzić nie daje. Potęga jej bywa czasami tak wielką, że łamie nawet przeszkody stawiane przez prawa

uświęcone. Żony uciekają od mężów, kochankowie wykradają dziewice z pod opieki czuwającej rodziny. Świat nie rzadko słowa pobłażania im wynajduje. Ty nie wykradasz nikogo, ogniska domowego nikomu nie gasisz; kochasz tę, która chce być kochaną, która ma prawo rozporządzania sobą, do której należy przyszłość i przeszłości wspomnienia. Jeżeli małżonkom rozwiedzionym, dziewicom wykradzionym—świat przebacza, cóż mówić o tobie, o niej, na których żadna wina ciężyć nie może? Pomyśl, Polu!...

Paweł nie odpowiedział nic, w imieniu jego odpowiedziało widmo, którego szept nie dochodził do uszu pani Rzutkiewiczowej:

— Ty miałeś kwiaty łąk, lasów zapach, ziemię swoją i niebo swoje miałeś!... Ja nic—prócz jej miłości, nic—prócz niej tylko!...

— Lecz bez niej, cóż mnie zostaje?—szepnął do siebie Paweł. — A jeśliby i ona — dodał po chwili—te same słowa, o mnie myśląc, wypowiedziała?...

— Pawle! — rzekła Rzutkiewiczowa, widząc zamyślenie syna.

— Chwieję się, matko, chwieję się jak orzeł nad przepaścią—i drżę!

— Przepaści nie lęka się orzeł, bo dla niego niema przepaści,—odpowiedziała matka.

— Więc rzucić się w nią?—zawołał Paweł.

— I szczęście wynieść,—odpowiedziała Rzutkiewiczowa.

— Ha!—rzekł z mocą, powstając.— Niech się więc pełnią przeznaczeń wyroki— —!

Wtem znowu tafla brzękła raz i drugi i trzeci i Pawłowi się zdało, że jakaś twarz blada patrzyła przez szkło szyby.

Podbiegł.

Była to łodyga śnieżnego kwiatu akacyi.

Otworzył okno szybko—i uroczysty szmer drzew doleciał do jego uszu. Chwiały się wszystkie w jakimś pokłonie modlitewnym, widocznie wiatr się zwiększył i rozkołysał topole i klony, jabłonie i grusze, które sypały śnieg kwiatów na ziemię, osrebrzoną pełnią blasków miesięcznych.

Paweł odetchnął głęboko, jakby ciężar jakiś spadł mu z piersi—nagle uczuł dłoń matki na swojem ramieniu, zobaczył uśmiech jej łagodny i słowa posłyszał:

— I cóż? zobaczyłeś ducha?...

— Wiatr chyli drzewa, wiatr poruszył łodygą kwietną akacyi, która codziennie przez okno do nas zaziera. Ale patrz, mamo, — dodał, ujmując ręką kwiat biały, — jak on jest miękki, jak on się do szyby silnie przyciska,—nie mógłby ani trącić o nią, ani tak miarowo—rzekłbym ostrzegawczo—uderzyć.

— To mówi doktór nauk matematyczno-przyrodniczych!—z uśmiechem odezwała się Rzutkiewiczowa.

— To mówi człowiek, mamo, którego rozum poszedł pod panowanie uczucia, którego dusza sama nie wie w tej chwili, czy przeczucia, wizye, proroctwa, nie są rzadkim, lecz naturalnym stanem danej chwili jej usposobienia.

— Przesądnym się stajesz.

— Nieświadomym praw tylko zakrytych przed nami.

— Do snu się udaj—niech on twe siły wzmocni, wzburzoną ukołysze wyobraźnię— — —

— Dobranoc ci, matko!...

Rzutkiewiczowa pocałowała w czoło syna, który się zaraz udał do swojego pokoju, lampę zagasił i wyszedł do ogrodu.

Noc była prześliczna, jedna z tych nocy majowych, podczas których serce marzenia za marzeniami goni; czar duszę wypełnia, jeżeli ból żaden w tej duszy się nie kryje, a jeśli ból jest, to kołysanka drzew go usypia, księżyca blask rozprasza, utula śpiew słowika. A księżyc świecił, drzewa szumiały i słowik śpiewał.

Oddany urokowi tej nocy majowej, przechodził Paweł aleje wszystkie pielęgnowanego ogrodu Kamenckich, gdzie do stóp mu się kładły białe księżyca plamy; zapuszczał się w gąszcz klombów, przez które ledwo przedzierał się promień miesięczny, gdzieniegdzie tylko srebrząc liście wijących się dziko powojów, z których lśniąca kropla brylantu bujną rosa opadała w kształt pareł wydłużonych.

Idąc tak, ani się spostrzegł, jak do altany zaszedł, w której nagle cień biały się poruszył a szmer z marzeń obudził. Nie spodziewał się Paweł kogobądź spotkać o tak spóźnionej godzinie— — W domu Kamenckich i oficynie, gdzie mieszkał, było już ciemno i cicho— — zatrzymał się więc, jakby zdziwiony z niespodziewanego spotkania i zrazu nie poznał, tak dobrze sobie znajomej, Maryni.

— To pani?

— Ja nie pytam, czy to pan?—odpowiedziała panna Kamencka.

— Pani tak mówi, jakbym nie chciał jej poznać,—z lekkim uśmiechem odezwał się Paweł.— Lecz jak mam powiedzieć?... „Dzień dobry czy dobry wieczór?...

— Wszystko mi jedno, — odpowiedziała Marynia,—bylebyś pan nie powiedział czasem: „Dobra noc!“

— Co byłoby najwłaściwszem,—dodał Paweł.

— Inaczej, że nie chcesz ze mną pan porozmawiać.

— Nie, pani! tylko, że nie dzień, nie wieczór, lecz rzeczywiście noc mamy— — —

— Usiądźmy,—rzekła Marynia.

Usiedli i milczeli.

— Jak pan już dawno byłeś w tej altanie! — z westchnieniem odezwała się panna Kamencka.

Paweł pochylił głowę i nic nie odpowiedział.

— Kiedy pan tu byłeś po raz ostatni?—spytała po chwili Marynia.

Paweł zdawał się przypominać sobie.

— Pomogę panu, — dodała panna Kamencka.

— Doprawdy, że nie pamiętam,—rzekł Rzutkiewicz.

— W dniu, w którym nas po raz pierwszy nawiedziła Jadwisia— —

— Aa... tak! Teraz przypominam sobie.

— To dziwne, żeś pan zapomniał— —

— Ma pani słuszność! Zwykle na pamięć nie narzekam— —

— A ja o wielu już rzeczach zapomniałam— spotkanie się jednak z Jadwisią będzie mi zawsze pamiętne.

— Przyjaciółkami panie były.

— Mówisz pan w czasie przeszłym.

— Czy nie jesteście?

— Niech pan sam sobie da odpowiedź.

— Wybaczy pani, lecz cóż mnie stosunek pań może obchodzić?

— Wiesz pan, że przyjęłam oświadczyny Laminowskiego?—spytała nagle.

— Mówiono mi o tem.

— Lecz nie mówiono dla czego— —

— Niech więc pani mi powie—dla czego?

— Z rozpaczy!—zawołała Marynia i—załamując ręce—wybiegła z altany.

Paweł nie podniósł się z ławki, uniósł nieco głowę i spojrzał za wybiegającą.

Marynia zrobiła kilka kroków gwałtownych naprzód, zatrzymała się, spojrzała poza siebie raz i drugi, a widząc ciemny otwór tylko altany—szepnęła:

— Ani się ruszył!...

Znowu zrobiła krok naprzód, kręcąc się tak, ażeby lekka suknia rozpaczliwy szelest wydała—i znów spojrzała za siebie i rzekła:

— Kamieniem siedzi.

Zapłakała niby, ale i to nic nie pomogło.

— Laminowski! muszę być twoją!...—rzuciła w gwiazdy— — —

— Z rozpaczy! — szepnął ironicznie Paweł. któremu do ucha wiatr przyniósł szept słów Maryni.—Różne są serca, miłości różne,— odezwał się po chwili... — Ach! panie Gustawie—chciałbym wiedzieć, jakie ty masz serce, jakiem uczuciem kochać jesteś zdolny?

Sen mu nie kleił powiek,—usnął dopiero nad ranem. Obudził się zupełnie spokojny. Nieprawdopodobnie dziecinnym wydawał mu się przestrach wczorajszy.

— Cóż postanowiłeś, synu?—spytała Rzutkiewiczowa wchodzącego, gdy zbliżył się z pozdrowieniem do niej.

— Wyczekiwać, mamo, żadnych kroków ze swojej strony nie robić, jednem się słowem nie zdradzić z tem, co w sercu dzieje się mojem. Niech panna Jadwiga sama się domyśli, niech zatrzyma dłużej spojrzenie na moich oczach, rękę w mojej ręce... a wtedy— —

— A wtedy co, synu?...

— Nie odstraszy mnie nikt, nic, żadne widmo, mara żadna, umarli ani żywi!...—zawołał, jakby ci umarli czy żywi, widma czy mary, stali tuż przed nim lub za progiem drzwi na spełnienie groźby czekali...

— Rozsądnie mówisz, mój synu, — odpowiedziała Rzutkiewiczowa. — Niech Jadwisia pierwsza przemówi, zrozumie cierpienie twoje, siłę twojego uczucia pozna. Rzsądnie mówisz, mój synu!...

Mówiła z powagą, lecz uśmiech zadowolenia kryła w sobie. Licząc się z drażliwością sumienia Pawła, nie chciała go namawiać do wyznań szczerszych, do podbijania słowy miodowemi na pół już podbitego serca Jadwigi. Pani Rzutkiewiczowa wiedziała doskonale, że miłość innemi prawami się rządzi, niż temi, jakie jej rozsądek nadaje, że gdy serce poczuje bicie serca, krew szelest krwi, postanowienia wszystkie, uroczyste przysięgi dawane sobie, rozpraszają w nicość, w proch marny, góruje wtedy olbrzymie prawo natury, siła potężna, która pierwszych rodziców świata z raju wygnała, Słowo zamieniła w Ciało, kazała Bogu na ziemię zstąpić, świat odkupić, stworzyć niebo i piekło.

Uśmiechała się więc matka Pawła i poważnym ruchem głowy potakiwała synowi, w myśli swej snując cały poemat liryczny, cały romans w szalbierstwo niewinne ubrany, idyllę śliczną wzajemnego oszukiwania się, która skończyć się musi na wieńcu mirtowym, welonie białym, usłaniu szczęśliwem gniazdka ptaszęcego, pod opiekuńczem skrzydłem, niby nic a nic o tem wszystkiem niewiedzących—rodziców.

Miesiąc róż i pieśni, pieszczoch boży, goniec wesoły—Maj, złożył kwieciste berło swoje do rąk w zbóż złoto ubranego lata. Czy dzwonią na polach sierpy i kosy, czy łan się jeży kopami żyt i przenic—nie wiele to obchodziło mieszkańców Szarogrodu, którzy, korzystając z przypadających chwil spoczynku, ograniczali się w zamiejskich wycieczkach swoich na przepędzeniu, kilkunastu godzin nieraz, w okolicach lesistych, lub, błądząc nad skalistemi brzegami Rastowicy, zachwycali się widokiem wzgórz fantastycznie połamanych, to rewidowali wszystkie niemal krzewy leszczyny, ciesząc się obfitem, a niedalekiem już orzechobraniem.

Bez niewielkiej przesady można powiedzieć, że miasto całe wysypało się za miasto. Na wszystkie strony rozpraszał się tłum pieszych, osiadał wzgórza i leśne polany. Kłęby szarego dymu przynosiły zapach węgli—widocznie, że pamiętano o samowarze, bez którego każda majówka pozbawiona jest właściwego uroku. Tu i tam pojedyńczy albo choralny śpiew się odezwał, śmiech zabrzmiał czasem, lub podrażnione echo rozbiło się o skały—nie brak było i ochrypłego głosu katarynki lub harmonii zostającej z harmonią w rozterce, a wtedy byłeś pewny, że po murawie wesoły pląs się posuwa, że gorzałczyna ochoty dodaje, bo szlachetniejszy trunek pozostawiony jest dla tych, którzy na szerszej polanie, dalej nieco od wesołego, lecz szarego światka, jak słupki ustawili się kolisto, do zabawy, *cer ceaux* zwanej.

Komendę słyszysz:

— Raz—dwa—trzy!

I czerwone albo błękitne kółka wionęły w powietrze, słupki rozbiegają się w lewo, w prawo... Nagle krzyk zabrzmiał albo śmiech serdeczny: to walka współzawodników o pierwszeństwo złapania umiejętnie rzuconego obręcza w górę, lub śmiech, gdy noga zapaśnikowi się powinie i on na zielonej murawie rozciągnie się jak długi.

Śliczne jest zacisze leśne, śliczne są skały w mchy i bluszcz ubrane,—lecz w miejscach tych, na dłuższe dumanie, pozostaje tylko albo duch smutny, albo poeta zakochany w pięknościach przyrody.

Codziennie prawie na cyplu jednej skały, ścianą prostopadłą zbiegającej ku wiecznie wrzącym falom rzeki, dostrzedz można było czarną syl-

wetkę młodzieńca, który wsparty o głaz wystający, patrzył na przeciwny brzeg Rastowicy, albo wzrok swój zanurzał w spienione nurty, rozbijające się w głębi o skał występy.

Był to Andrzej.

Ferye!... lekcye z dzieciakami się przerwały, lecz się nie zerwał stosunek, zawiązany pomiędzy niemi a Jadwigą. Węzeł serdeczny zacieśniał się coraz bardziej i było tak jakoś, jak Andrzej raz powiedział Jadwidze:

— „Zdaje mi się, że pani przeciągnęła nitkę złotą od swego serca do serca tej całej, garnącej się do ciebie gromadki... i tak, jak uderzy serce pani, panno Jadwigo, tak biją wszystkie; gdzie tylko pani pójdzie, idzie i ta rzesza cała, dla której jesteś krwią i mlekiem, czuciem i myślą!...“

Jadwiga od dawna już zauważyła, że Andrzej wyrażał się stylem poprawnym, książkowym niemal. Mówił płynnie, tylko z powagą nie licującą z wiekiem chłopca; widocznem było, że pod wpływem nauk młodej nauczycielki, pod urokiem jej spojrzeń, tego czaru i tego nieba—wyszlachetniał duch Andrzeja, rozum się wzmocnił, myśl nabrała lotności, a serce...

Jadwiga nie kończyła rzuconych zdań... To serce było przepełnione tak ogromną miłością dla niej, że się lękała w nie spojrzeć, dojrzeć tajemnicę dalszego rozwoju tego uczucia, z którem Andrzej krył się teraz, jak ze skarbem nabytym, mogącym być tylko przez śmierć oderwanym od niego. — Jadwiga odczuwała nieugaszony już niczem płomień miłości, który mu oczy wypalał, na lica siadał rumieńcem gorączki trawiącej, płomykami ognia przez usta się prześlizgał, zapierał dech w piersi. Mówiła mu wtedy o życiu, które przynosi troski i bóle, Chrystusowy krzyż każe nieraz dźwigać—ale duch silny upaść nie powinien, wszystko przenieść, wszystko przecierpieć i—żyć dla drugich, jeżeli dla siebie żyć już nie może.—Mówiła wtedy o swoich cierpieniach, mówiła szczerze...

Stali nad rzeką na złomie skały.

Rzadko kiedy Jadwiga udawała się sama na tę przechadzkę—lecz czasem potrzebowała samotności, pozostania z naturą tylko.

— Widzisz pan, że oszaleć bym mogła — ciągnęła zaczętą rozmowę,—lecz od nieszczęść wielu uratowało mnie oddanie się wiadomej panu idei. Mówię szczerze z tobą, bo, wierz mi, panie Andrzeju—że jesteś mi otwartą kartą księgi. — Czytam więc—i wiem wszystko, co w niej się znajduje.

— Może-ż być inaczej — odpowiedział Andrzej... Czytasz to tylko, co sama w niej napisałaś.

— Nie wszystko tam napisane jest przeze mnie — odpowiedziała Jadwiga, poruszając poważnie głową... Są głoski postawione przez ciebie, słowa przez ciebie tylko pisane.

— Mówisz, pani, o miłości mojej...

— Cicho!—przerwała Jadwiga, przykładając palec do ust... Ja tego właśnie nie chciałam, bo to niedobrze jest dla pana i dla mnie...

— Dla pani?—spytał...

— Jestem bezwiednem nieszczęściem twojem.

Andrzej źrenice rozszerzył, płomień przebiegł mu przez usta, twarz, czoło i w oczach iskrami błysnął...

— Dlaczego, pani, zmieniasz znaczenie wyrazu i szczęście nieszczęściem nazywasz?... Bez pani szyłbym trzewiki i może byłbym dobrym szewcem. Zostawiony po ojcu mi warsztat rozszerzyłbym, zbierając grosz do grosza kamienicę kupił; stałbym się jak tylu innych... pasibrzuchem, lecz nigdybym w niebo nie zajrzał, myślą się nie wzniósł nad poziom tej ziemi, nierozpalił serca uczuciem tak wielkiem... A śmierć?... Tak samo Andrzej pasibrzuch, jak Andrzej marzyciel umrzeć musi.—Wolałbym jednak śmierć tego ostatniego—choćby nastąpiła natychmiast, choćby z tej skały w przepaść się miał rzucić... Co umarłby—szczęścia zaznawszy.

— Żyjąc, mógłbyś pan z pożytkiem dla innych pracować...

— I będę—dopóki ty, pani... będziesz.

— Czy wiesz co, pani—dodał—że przychodzę tutaj codziennie i oparty o ten złom skały patrzę w głąb tę rozciągającą się podemną... Nieraz za łodzią łódź płynie, nieraz jak jaskółki śmigają w wesołej gonitwie po spienionych nurtach rzeki, nieraz pieśni echo o tę skałę się roztrąci—na nic nie zważam!... Patrz, pani—mnie pociąga—ta fala... Czy widzisz ten głaz?... O ten głaz ta fala się rozbija—i cofa się i znów się rzuca z wściekłością szaloną.—Łódź każda omija ten załom niebezpieczny, podanie mówi, że niegdyś tu się utopił, podobny do mnie jakiś Andrzej marzyciel, tylko nie miał żadnego powodu, bo świat go nęcił, bo mógł znaleść jeszcze szczęście na świecie. W głąb runął—i pożałował życia. Wyciągał ramiona, ratunku szukając, lecz skała odtrąciła, fala pociągnęła i musiał pozostać na dnie topieli. Ale za śmierć przedwczesną spotkała go kara... Spójrz! to nie spieniona fala na głaz się ten rzuca i silnym obejmuje go uściskiem, to są ramiona topielca w tę falę przemienione. Ratunku niema, więc dyszy wściekłością i zemstą.—Ilekroć tu staję i pochylę się tak...

— Panie Andrzeju!—szepnęła nagle Jadwiga—chwytając go za rękę, a twarz jej śmiertelnie zbladła.

— Nie bój się, pani—nie rzucę się jeszcze...

— Nigdy—tonem prośby dodała Jadwiga.

— O, tego nie powiem!... Dopóki pani jesteś przy mnie, dopóki pani, choć bezemnie, szczęśliwa będziesz,—nie rzucę się.!. Ale o czem to mówiłem?... A!—Czasami, gdy tu stoję, zdaje mi się, że te fale-ramiona wyciągają się do mnie i wołają: pójdź! — pójdź. Ach! jaki ich głos nęcący, jaki ich szept rozkoszny czasem bywa!... Pani drżysz—panno Jadwiga?... To bajka, marzenie, sen... Gdybym umiał wierszem pisać, pisałbym jakieś ballady dziwne, smutne bardzo, a wiersz by, jak te fale, szumiał—rym dzwonił, jak te fale od skał odbite...

Ujął rękę Jadwigi, do ust przycisnął i rzekł z kamiennym spokojem:

— To bajka, marzenie, sen!...

Jadwiga, jakimś dziwnem uczuciem pociągnięta, doknęła ustami czoła Andrzeja. Młodzieniec drgnął—krew przepłynęła mu przez żyły wszystkie—spojrzał na stojącą przed sobą, spojrzał na nurt wodny i szepnął:

— A!... gdyby... tak... razem!...

— Nić złota, o której pan mówiłeś—odpowiedziała Jadwiga—ta nić złota, która od mojego serca do serc innych przechodzi, nie prowadzi tam ciebie, Andrzeju! Siostrą twoją jestem, spokojem twoim być chcę... Pozwolę ci się siostrą nazywać, jeżeli tylko tej nici złotej zerwać nie zechcesz..

Łzy, jak grad rzuciły się z oczu biednego Andrzeja... Na czole swojem czuł pocałunek Jadwigi, nie ten, który żądzą ziemską pali, lecz ten, jakim aniołowie całować muszą. Szczęśliwym się czuł, z oczu mu strzelił płomień radości i życia i przyciskając do bijącego serca rękę Jadwigi, zwrócił się do fali, którą ramieniem topielca nazwał i w głos zawołał:

— Daremno ramię swoje wyciągasz—nie weźmiesz mnie, nie pójdę do ciebie—nie, nie pójdę!...

Jakby fala—ramię zrozumiała ten okrzyk zwycięzki, spiętrzyła się nagle, wygięła kark swój, okryła go rozwianą grzywą piany i z szumem ogromnym rzuciła się na skałę... Bryzgi się posypały,—szturm szalony powtórzył się raz i drugi, a rzeka cała zaczęła się pienić i marszczyć. Nagły się wichr zerwał i drzewa uderzyły w lament.

— Schodźmy, bo wiatr nas strąci—odezwała się Jadwiga, odwracając twarz od wichrów burz letnich...

Oparła się na ramieniu Andrzeja, przygarnęła się ku niemu, bo wiatr się rozszalał, liście rwał i gałęzie, niósł tumany kurzu i żłobił bruzdy głębokie w ziemi i wodzie.

Była to jedna z tych burz letnich, które, nie wiadomo zkąd przychodzą i gdzie odchodzą.

Pamiętna to była chwila dla Andrzeja i dla Jadwigi.—Pocałunek jej, jak talizman zbawczy oddziałał na chorą duszę młodzieńca, Jadwiga wiedziała o tem i dlatego nie wahała się chwili jednej z położeniem ust swoich na czoło Andrzeja. Lekarką była, w środkach nie mogła przebierać; winną się czuła, że choć bez pragnień i woli zamąciła to serce proste, zburzyła spokój tej duszy. Smutek Andrzeja kamieniem na jej piersi zaciążył; obawiała się melancholii, która, będąc wynikiem tęsknoty miłosnej, mogłaby w grób go zawieść. Młodość ma wiele sił w sobie, niejedno cierpienie przewalczy, niejeden zawód zniesie—myślała tak nieraz, ale bajka powiedziana przez Andrzeja, napełniła ją trwogą...

Andrzej nosił się z myślą samobójczą...

Rady, przedstawienia wszelkie — na marne wtedy idą. Przykładając swe usta do jego czoła, dając mu prawo nazywać się siostrą, zbliżała się ku niemu i pokonywała otwartością wyznań. Tłumiona w sercu tajemnica ma moc zabójczą na jaw wyszła—na potędze swej traci.—Dziś pękły krępujące więzy ich dwojga—zbliżyły się serca, brat siostrze zawdzięczać będzie niejedną chwilę szczęśliwą i pod dobroczynny wpływ jej pójdzie.

Wracali teraz uśmiechnięci, weseli. Wiatr ich gnał po stoku wzgórz spadzistych, biegli więc przytuleni do siebie, nieraz głośnym wybuchając śmiechem.

— Czy nam nie dobrze tak Andrzejku?...

— Czar! niebo! — powtarzał teraz głośno—okrywając pocałunkami nie broniącą się rękę Jadwigi... O życie! życie!—wołał—jakieś ty piękne... i śmiał się jak dziecko, które do ramion swoich przypnie skrzydełka ptasie i myśli, że skrzydlatym aniołem się stało.

To uzdrowienie duszy zranionej zbawienny wpływ i na Jadwigę wywarło. Oddziałał na nią i urok lata i czar życiem pełnem kwitnącej przyrody, szepty jej, wołania kuszące i rwanie się młodości do korzystania z młodości...

Sośniccy i pani Rzutkiewiczowa z nietajoną radością patrzyli na Jadwigę. Codziennie prawie wyjeżdżali na miasto, oczywiście w towarzystwie Pawła, który wyraźnie widział, że serce Jadwigi lgnęło ku niemu. Witała go okrzykiem, żegnała słowami:

— A kiedy się zobaczym?...

— Oczywiście jutro—odpowiadał.

W wycieczkach swoich nie poszli utartemi śladami mieszkańców Szarogrodu. Jadwiga zapragnęła żniwa zobaczyć, rad był i Sośnicki wywczasy sielskie przypomnieć... I poszli hen, daleko, gdzie łan żytem się srebrzył, pszenicą złocił...

Wiatr powiał—pokłoniło się zboże do stóp patrzących... Sośnicki westchnął... a i smutek rzewny usiadł na twarzy Jadwigi.. Wróciła pamięć—myśl w przeszłość uleciała...

Sośnica!... Gustaw!...

I dwie łzy z oczu panny Jadwigi spłynęły.

Smutniejsza była, milcząca więcej, gdy wracała wsparta na ramieniu Pawła... Spotykały się jednak spojrzenia młodych—usta milczały, mówiły spojrzenia tylko.

Do tych wycieczek i Andrzej nieraz należał, którego stary Sośnicki niezmiernie polubił... Zrazu się zżymnął, gdy Jadwiga odezwała się:

— Bracie Andrzejku, a on ją siostrzyczką nazwał—lecz pogodził się prędko, poznawszy rozum i złote serce chłopca.

Tak przeszło lato—a oto i jesień zapukała do wrót.

Przez cały ten czas nie było pana Aleksandra—dopiero razem z panią Porczyńską zjechał do Szarogrodu. Powitali go rodzice z radością i Jadwiga nawet w ramiona się rzuciła.

— Ale—ale—odezwał się po przywitaniu pan Mateusz—coś tu o twoim ożenku gadają.

— I gadają dobrze—żenię się z panną Rabską.—Ojciec wie! Bogata panna.—Trzykroć... majątek w ziemi... Partya!...

— A zgadzają się z tem, Olesiu, zasady twoje?—spytała Jadwiga.

— Spodziewałem tej szpileczki... Ale, pani siostro, mając fortunę, dopiero będę miał pole otwarte dla pracy dla społeczeństwa...

Na tydzień przed adwentem odbył się ślub Aleksandra, który zwinął agenturę i z żoną do Wenecyi wyjechał.

— Teraz dopiero „Most westchnień,“ prawdziwym mostem westchnień zostanie—rzekła Helena u Sośnickich na wieczorze,—bo nigdy pewnie pary takiej nie widział.

Nadeszła zima—nadeszła Wigilia.—Gdy rodzice zwrócili się do Jadwigi, o Pawle coś szepcąc—pokazała im miejsce próżne i łzami nabrzmiałe oczy

(Dokończenie nastąpi).

PRZYRODA W POEZYI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(*Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności*).

(Dalszy ciąg).

Starałem się odtworzyć wszystkie zasadnicze tony, jakiemi przemówiła poezya przyrody w romantyzmie naszym, najwybitniejsze barwy, jakie w malowidłach jej widnieją. Współczesną śpiewakom późniejszej doby tego romantyzmu była znakomita poetka nasza—Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), która dotąd wspaniałą mową bogów do nas przemawia. Talent jej niepospolity, wielce oryginalny, odbiegł daleko od kwiecistych pól romantyzmu; królewskie jego szaty zupełnie odmiennemi świecą barwami.

Deotyma spogląda na cały świat otaczający, a więc i na przyrodę oczyma wyobraźni i refleksyi zarazem. Źrenicą wyobraźni poetka ogląda kształty olbrzymie, architektoniczne, a w kształtach tych natura cała podnosi się w wyż, w krainę ideału, jak cudowny gmach, ręką mistrza stworzony, spogląda w niebiosa.

Ta sama wyobraźnia rzuca na łono przyrody blaski brylantowe, które tworzą czarodziejską krainę piękna. Grają w nich światła różnobarwne, jak w szybach świątyń gotyckich. Drugi atoli współczynnik duchowy twórczości poetki—refleksya kieruje promienie wyobraźni ku treści wewnętrznej zjawisk. Zaledwie na chwilę zwróciwszy na zewnątrz wzrok fantazyi, oko duchowe Deotymy kieruje się wnet ku głębinom duszy własnej, ku światowi wewnętrznemu. A ze świata tego roje myśli wylatują i, jak pszczoły, siadają na każdym kwiecie, aby z niego słodycz mądrości wyssać. Wszędzie, w każdej rzeczy poetka dopatruje treści duchowej, celu, przeznaczenia w chwili teraźniejszej i w przyszłości. Czem jesteś i ku czemu dążysz?—takie pytanie zadaje każdej rzeczy, na którą padnie wzrok wyobraźni jej, bujnej, lotnej, niepospolicie oryginalnej. I odpowiada jej przyroda cała wielkim głosem mądrości i poezyi, głosem symbolu, głosem przenośni wreszcie. Gdy spojrzy na góry, naprzykład, wyobraźnia jej odbiera przedewszystkiem wrażenie bezpośrednie, widzi ich wyniosłość; wnet jednak bezpośredniość wrażenia ustępuje miejsca refleksyi. Fantazya poetki chwyta „duchowy magnes dziwnego pociągu,“ który „z człowiekiem łączy te wyżyny mgławe,“ a tym duchowym magnesem jest pociąg do marzeń. Pogrążając się w zadumie tych marzeń, Deotyma nie ogląda malowniczych wizerunków gór, i widzi je w różnorodnych postaciach symbolu i przenośni, widzi je, jako „świata zawoje,“ „ziemi korony,“ „pierwiosnki świtu,“ „dolin zegary,“ „pazie słońca,“ „niebios łzawnice,“ „wyspy konania,“ „oazy życia,“ „matki potoków,“ „boskie organy,“ „orłów warownie,“ „czoła odwagi,“ „marzeń namioty“ i t. d.

Spojrzawszy znowu w niebo, widzi najpierwej „świt,“ który, „jak biały rumak, pędzi;“ następnie ogląda „gwiazdy“ i „jutrzenkę,“ która „tonie pod mgły smugą.“ Piękno i malowniczość cudownego widziadła uderza wyobraźnię poetki, która też je wspaniale odtwarza:

„Lasy z korali, bałwany w purpurze
„Wśród powietrznego pienią się jeziora...
„Wystrzały światła wróżą, że już blizko
„Rydwan, co nową dla świata kołyską...
„Łąka się perli... gaj zagrzmiał w weselu,
„I wbiegł w łuk nieba wóz tryumfatora!“

Po chwili przybiega refleksya i wziąwszy się za ręce z wyobraźnią, nazywa gwiazdy „liściami w złotem drzewie świata.“ Wnet refleksya opanowywa prawie niepodzielnie ducha poetki i bada znaczenie gwiazd oczyma budowniczego, malarza, snycerza, poety, muzyka, tancerza, kapłana, mędrca. Chwilami refleksya ta przywdziewa wspaniałe szaty poezyi, gdy, naprzykład, mówi do zachodzącego słońca:

„Ach! z jakąż zachód gasnąłby żałobą,
„Gdybyś już wrócić nie miało!“

Spojrzawszy na ogień, wyobraźnia poetki widzi go płonącego w słowie, widzi go, jak pada „w duch Mojżesza,“ widzi go nad głowami Apostołów, drgającym „jak liść z płomieni,“ ogląda jako niszczyciela, wskrzesiciela i jako siłę odradzającą, widzi go w aureoli czynów wielkich, widzi, jako błędny ognik nad mogiłą.

W barwach i kształtach kwiatów poetka dopatruje wielkiego celu i tajemnicy bytu, a każdemu z nich z osobna nadaje znaczenie symboliczne. Tem samem okiem ducha spogląda na ptaki i widzi pawia, jako, „godło blasków ziemi,“ widzi sowę—symbol mądrości, kruka,—zwiastuna burzy, gołębia, zwiastuna ciszy błogiej i t. d.

Wiosna przedstawia się w wyobraźni poetki, jako duch dobry, przemieszkujący w krainie wiecznego słońca i wiecznej zieleni, przebiegający świat cały i rozbudzający życie w naturze:

„To jakieś cudo prawdziwie!
„Kędy się tylko pokaże,
„Inna ziemia, inne twarze!
„On wszystkich żywiołów panem;
„Pod jego tchnieniem rozgrzanem
„Śniegi topnieją na niwie..
„Jak głazy, pod jego dłonią
„Kry pękają... źródła dzwonią...
„Niech się ziemi dotknie nóżką,
„Wnet się trawka wkoło ciśnie...

Lato, według słów poetki—„to lew pustyni.“ Tęcza nosi na sobie „kolor wiary,“ która jest „podstawą życia,“ ma też barwy „uciech,“ „zawiści,“ „nadziei,“ „pokuty“ i t. d., a cała jest symbolem życia, które się z wrażeń i uczuć różnorodnych składa.

Widzimy więc, jak oryginalną jest twórczość Deotymy w odtworzeniu przyrody, jak pełną fantazyi, zadumy głębokiej i dociekania. Przyroda otwiera przed duchem poetki nie tyle barwy oblicza swego i kształty postaci, ile treść swą wewnętrzną, duchową, a głównie duchowy wyraz symbolu i allegoryi. Taką poezyę nie każdy pojmie i odczuje; jest ona zrozumiałą tylko dla tych, do których piękno duchowym wyrazem swoim przemówić zdoła, których nie nużą loty wyobraźni bujnej, nie nuży zaduma refleksyi głębokiej.

* *
*

Pieśń poromantyczna biegła też na łono przyrody po skarby wrażeń i nastroju. Zakres tej pracy nie dozwala mi bliżej z tą pieśnią czytelników zapoznać. O dwóch najcelniejszych poetach trochę obszerniej pomówimy.

W zachodzącem słońcu romantyzmu, a w przedsionku dni nowych, z odmiennym nastrojem ducha, stanął wielki mistrz słowa—Adam Asnyk (El.....y). W pierwszej dobie twórczości dusza poety szukała w przyrodzie tylko odbicia chwilowych wrażeń serca, lub zbierała na jej łonie kwiecie symbolów.

Z czasem, gdy talent dojrzał, refleksya poety stanęła w zadumie nad temi zagadkami wszechbytu, które zlatują z gór niebotycznych, podnoszą się z wnętrza otchłani, któremi przemawiają skały puste i zieleń kwiecista, któremi oddycha tchnienie wichrów wolnych. Dusza poety zaczęła wsłuchiwać się w wielki głos, którym przemawia duch wszechświata, i rozpoczęła z nim biesiadę serdeczną. W cyklu poezyj pod tytułem „W Tatrach,“ El...y wprowadza do krainy czarów przyrody duszę własną, duszę niezmiernie wrażliwą i zadumaną; w duszy tej budzi się naówczas nastrój głęboki: to podniosły, uroczysty, to rzewny i tęskny, to cichy i serdeczny, a zawsze harmonizujący z otaczającym go światem natury.

Poeta daje uroczym zjawiskom piękna w przyrodzie przedewszystkiem serce swoje; pada na łono ziemi, to jak na pierś kochanki uroczej, która stroi się „w błękit morza, w łąk zieloność, w błyszczące piaski, w niebotyczne głazy;“ to jak na łono dobrej piastunki i nauczycielki, trzymającej go mocno przy piersi swojej i opowiadającej „sny cudowności“ i własne swe dzieje; to wreszcie, jak na łono matki, która „ma dla swoich dzieci zawsze miłością promienne oblicze.“

Dusza piewcy zlewa się „z całą harmonją zaziemskiego świata,“ zapomina o swej boleści, zanurza się „w źródle wiecznie żywem, poruszającem wielkie koło bytu,“ znajduje „wspólne ognisko żywiołów i związek z całym ogromem stworzenia, „z wieczystym duchem, co mu podać gotów rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia.“

Asnyk nie tyle odtwarza przyrodę w barwach jej i kształtach, ile raczej wsłuchuje się w jej głosy i treść ich duchową odgaduje. Słyszy oddźwięki dalekie, słyszy „cichy szelest rosy po drżących liściach drzew.“ Genjusz wyżyn, „surowy“ w grozie potężnej, śle mu „swego oddechu powiew mroźny,“ rozpościera nad nim „milczenie pustyń,“ nieskończoność ciemna, przemawia doń głosem samotności świata zamarłego, posyła mu tchnienie „nieświadomego, tajnego, nieujętego.“

Poeta używa zazwyczaj w swych malowidłach przyrody barw łagodnych, lekkich, przejrzystych, ledwie pochwytnych. W barwach tych nie płoną gorące blaski słońca, kolory tęcz nie błyszczą. Te barwy łagodne pieszczą ducha, wywołują w nim nastrój cichej, serdecznej, czasami tęsknej zadumy.

Silny indywidualizm twórczy znakomitej poetki spółczesnej naszej, Maryi Konopnickiej, nadaje pieśni jej wybitne piękno podmiotowości. Cecha ta widoczną też jest w opisach natury, które poetka odtwarza w barwach płomiennych i w dźwiękach, płynących z własnej duszy twórczej. Niema tu cichego zachwytu i refleksyi spokojnej, jak u Asnyka. Konopnicka rzuca w łono przyrody wszystkie bóle swoje, zwątpienia i nadzieje, każe przyrodzie, aby je odczuwała, wlewa w nią serce człowieka. Każde wrażenie, które wieje z lasów, pól i łanów szerokich, poetka rozpłomienia w ogniu swej wyobraźni wybuchowej, w cieple serca swojego, wreszcie w kuźni swych ideałów.

Wyobraźnia poetki ma na zawołanie wszystkie najdelikatniejsze i najjaskrawsze barwy, nawet półcienia. Wizerunki jej przypominają niekiedy impresyonizm malarski.

Konopnicka rzuca na przyrodę blaski niezmiernie ciepłe, prosto z serca kochającego płynące. Ręką serdeczną uderza w struny swej liry i wydobywa często tony głębokie, a swojskie. Swojskość ta nie tylko w tonie, ale też i w kolorycie przemawia, tworząc nastrój, żywo do duszy wnikający:

„Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
„Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną,
„Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
„Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
„Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
„Rozbite skrzelką, co tryska w wód głębi,
„Niech nad nią chmurka trzpioce się gołębi,
„I puchy kwietne, i nitki pajęcze..,
„I w takież skiby głębokie puść rolę,
„I daj po brózdach te maczki jaskrawe,
„I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
„I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę..
„I niech tak idą rozgłośno po łanie

„Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie,
„Niechaj tak wierzby dumają u strugi...“

Na tle przyrody brzmi często pieśń ludu, którą poetka dość żywo i wiernie odtwarza. Chwyta tony fujarki pastuszej, pieśń, rozbrzmiewającą po szerokich łanach z piersi żniwiarza, wreszcie pieśń skargi sierocej ludu.

Pieśń ta żyje w przyrodzie swojskiej i tchnieniem jej oddycha. Niekiedy piosnka poetki przypomina sielanki dawne, tylko że odczucie przyrody jest w niej daleko głębsze, barwy i tony bogatsze, artyzm wspanialszy, a serce żywiej, goręcej i szczerzej przemawia.

Z innych poetów spółczesnych, Wiktor Gomulicki jest w odtworzeniu przyrody malarzem—kolorystą, ma pędzel słowa prawdziwie artystyczny; pieśni Jana Kasprowicza i F. H. Nowickiego oddychają świeżem, czerstwem tchnieniem przyrody wiejskiej i życia ludu, jak gdyby poeci wchłonęli w siebie najzdrowszy oddech pól i lasów naszych; Kazimierz Tetmajer daje przyrodzie subtelny nastrój swej duszy i chwyta z natury rodzinnych Tatr wrażenia niezmiernie oryginalne; Antoni Lange spogląda na przyrodę okiem refleksyi, a zarazem umie się przejąć do głębi wrażeniemi, od niej płynącemi, umie wżyć się niejako w naturę, zadumać nad treścią wewnętrzną zjawisk; Kazimierz Gliński, liryk serdeczny i rzewny, jest w odtworzeniu przyrody malarzem i muzykiem; wyobraźnią niezwykle bujną, romantyczną, chwyta piękno w jej objawach zewnętrznych; Or-ot, trubadur zamków miejskich i ich zabytków, rzadziej wybiega na łany szerokie. ażeby odetchnąć świeżą wonią pól, gdy jednak opuści mury miejskie, umie pochwycić żywy oddech przyrody.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 17 Grudnia.

Alfons Daudet umarł dziś nagle! Ta wstrząsająca wiadomość z błyskawiczną szybkością, przebiegła Paryż. Wielki romansopisarz cierpiał od dłuższego czasu na serce, lecz nawet w dniu śmierci nic nie zapowiadało smutnej katastrofy. Daudet rażony został paraliżem serca, podczas obiadu spożywanego w gronie rodziny.

Francya straciła znakomitego i ulubionego swego powieściopisarza, a literatura wszechświatowa jednego z doskonałych, a sympatycznych i poczytnych autorów.

Daudet miał lat przeszło 50 urodził się bowiem w 1840 roku w mieście Nimes w południowej Francyi zkąd opieką starszego brata Ernesta przybył do Paryża przed trzydziestu kilku laty i tu rozpoczął zawód literacki. Ocena jego działalności, jako pisarza, potrzebuje osobnego i specyalnego studyum, które później prześlę do Was.

Od kilku dni Paryż podobnym jest do mglistej stolicy Anglii tonącej w morzu gęstej żółtej i brudnej mgły. Niebo zasnute gęstą oponą szarej massy tłumi nawet ruch i gwar uliczny, niezwykle ożywiony w porze przed noworocznej.

W magazynach tłok nieustanny odwiedzających, podobny do przypływu i odpływu morza—zapełnia sobą i napełnia szumem nieustannym wielkie sklepione hale Louwru, Bon Marché Printemps i kilku innych wielkich domów handlowych.

Kobiety i dzieci — dorośli mężczyzni, starcy nawet, śpieszą pociągnięci ciekawością do nowości. Ale bo też trzeba się zżyć i przyzwyczaić do Paryża, aby zrozumieć cel owych olbrzymich wystaw ściągających setki tysięcy widzów z których po części tworzą się i kupujący.

Roboty około przyszłej powszechnej wystawy idą już szybkim krokiem naprzód. Prezydent rzeczypospolitej pospołu z zarządem wystawy czuwają nad rozpoczętemi robotami i można też sądzić, że ta powszechna wystawa kończącego się stulecia wieku pary i elektryczności, uświetni się czemś nadzwyczajnem, o czem przyszły wiek długo rozpamiętywać będzie. Rozpoczęte prace około wystaw wyrugowały artystów z ich zwykłej siedziby i nabawiły niemało kłopotu zarazem. Po rozmaitych pertraktacyach i projektach stanęło nareszcie na tem, że tegoroczne artystyczne wystawy dwóch Salonów będą miały miejsce w Galeryi maszyn dawnej wystawy, gdzie również będą się odbywały konkursowe hippiczne popisy i wystawa rolnicza.

Silniej daleko jak wszelkie projekty przyszłej wystawy, silniej jak ruch przed świąteczny i przyszły karnawał, zajmuje Paryżan sprawa uwięzionego za zdradę ojczyzny kapitana Dreyfussa.

Tajemnicza ręka trzyma mocno sieć całej tej polityczno socyalnej intrygi, i pomimo wszystkiego nie rozjaśnia wcale sprawy więźnia z Dyabelskiej Wyspy.

Sprawa ta jest równie znana jak niesmaczna. Czy osławiony więzień jest winny lub nie—nie wiem. Zdaje mi się, że i Zola w tym względzie nie jest o wiele lepiej poinformowany. Przynajmniej w głośnych swych artykułach w „Figarze“ nie rzuca na tę mętną sprawę żadnego nowego światła—wyraża tylko swe przekonanie. Tymczasem minister wojny. stary jenerał Billot, znający wszystkie szczegóły tajemniczego procesu, w Senacie i w Izbie Deputowanych przysięga na honor i sumienie żołnierza, że ex—kapitan został skazany słusznie i sprawiedliwie...

Osobiście, większe mam zaufanie do prostych słów jenerała, niż do pięknie napisanych felietonów Zoli. Jestem pewny atoli, że słynny pisarz działał uczciwie i w dobrej wierze. Czy jednak jego wystąpienie jest usprawiedliwionem?

W obec faktu, że prowadzi się śledztwo, które ma rozświetlić ową, posępną tajemnicę, że tymczasem Dreyfuss jest potępiony przez sąd oficerów nieposzlakowanej cnoty, którzy winę jego dobrze badali—krok Zoli wydaje się lekkomyślnym. Człowiek jest omylny i sprawiedliwość ludzka może się zbłąkać. We Francyi wszakże łatwo jest udowodnić pomyłkę, otrzymać zadośćuczynienie. Tembardziej jednak, dopóki błąd nie jest skonstatowany, należy szanować wyrok sądu. Bo jeśli będziemy lekceważyć siłę i władzę sprawiedliwości, jakież kryteryum ostanie się dla czynów ludzkich?...

Za staraniem i za pieniądze hrabiowstwa Boni de Castellane wzniesiony zostanie olbrzymi gmach przeznaczony raz na zawsze na dobroczyny Bazar. Tak więc pomimo strasznej katastrofy zeszłorocznej, Bazar istnieć nie przestanie, a nawet utrwali na długo swe istnienie. Ofiarność paryżan znów znajdzie swoje ujście, a biedni nic nie ucierpią na tem strasznem zajściu. Obecnie Bazar mieścić się będzie na olbrzymim placu przy ulicy Pierre—Charron i już na wiosnę zostanie wykończony i zainaugurowany.

Interesująca wystawa Chryzantemów przedstawiła tysiące okazów tego ulubionego przez paryżanki kwiatu. Od kilku lat moda na Chryzantemy rosła z dniem każdym i dziś w samym Paryżu jesienią, handel Chryzantemami przynosi zysku setki tysięcy franków.

Nowo powstałe towarzystwo konserwacyi zabytków starożytnych architektonicznych, będzie miało obszerne pole do działania. Paryż z dniem każdym się powiększa zmienia i upiększa. W tych dniach rada miejska rozpatrywała i przyjęła projekt stworzenia nowego olbrzymiego bulwaru. Nowy Bulwar ma połączyć ulicę Reaumura z placem Ratusza, czyli poruszyć i zburzyć starą część miasta, a na to miejsce wznieść nowe okazałe budowle. W tej części Paryża mieści się wielka ilość starych domów w wązkich ciasnych uliczkach—jedna z nich, mianowicie ulica Brise—Miche, należy do najwęższych uliczek w mieście. W tej dzielnicy mieści się również prześliczny kościół Saint Merri zbudowany w stylu Renaissance z piękną ornamentyką i artystycznemi kolorowemi szybami. Kościół ten umieszczony między staremi wysokiemi kamienicami skupionemi około siebie, ginął zupełnie w mglistym mroku jaki tu musiał panować w zbitej massie murów. Dziś po przeprowadzeniu nowych ulic i rozszerzeniu całej dzielnicy światło się tu przedostanie, a zdrowotność zakwitnie.

Tutaj więc członkowie nowego towarzystwa znajdą pole do swej działalności, gdyż rzeczywiście szkoda by była, aby ten dawny zakątek starożytnego Paryża miał zginąć bez śladu. Jest tu wiele bardzo charakterystycznych domów, które nie powinny zostać zburzone.

W tych dniach zwiedzałem nowy szpital wzniesiony kosztem wdowy po znanym tutejszym kupcu Arystydzie Boucicaut, właścicielu olbrzymich magazynów *Bon Marché*. Szpital ten wzniesiony jest na przedmieściu Javel położonym na końcu miasta, naprzeciwko mostu Mirabeau przy ulicy *de la Convention*. Ten wspaniały budynek jest poniekąd ostatnim wyrazem architektury współczesnej. Cały szpital składa się z pięciu olbrzymich pawilonów zbudowanych z czerwonej cegły.

Wielkie sale mają kształt owalny, okna wysokie, wychodzące na wspaniale urządzony duży ogród. Każda sala ma przyległą olbrzymią oszkloną *hallę* w rodzaju cieplarni zapełnionej wysokiemi krzewami roślin i palmy szerokolistnych. Refektarze kuchnie i sale kąpielowe urządzone są z niebywałym kosztem podług najnowszych wymagań hygieny i ulepszeń ostatniej doby. Winda nowego systemu obsługuje wyższe piętra, światło elektryczne całą noc funkcyonuje. Wychodząc ztamtąd mimowoli pomyślałem, czy też projektowany szpital w Warszawie uda się w takiej mierze?

Na placu komedyi Francuzkiej ma być zaprowadzony nowy rodzaj oświetlenia elektrycznego mianowicie dwie wielkie fontanny mieszczące się przed samym frontonem komedyi mają zostać uiluminowane elektrycznością, co rzeczywiście może dać wspaniały widok.

Paryska Akademia nauk przyjęła do swego grona nowego członka w osobie słynnego powieściopisarza i poety pana André Theuriet'a. Paweł Bourget powitał nowego kolegę, rzeczywiście piękną mową.

Emil Zola broniąc sprawy Dreyfussa szeregiem artykułów zamieszczonych w Figarze, naraził przeciw sobie opinię publiczną, a niektóre organa prasy rzuciły na niego gradem przeróżnego rodzaju oszczerstw.

Bo też dziennikarze mają niezwykłe pole do popisu: sprawa Dreyfusa Zoli, oświadczenie w senacie jenerała Billot o niezbitych dowodach winny zdrajcy, są to tematy w obec, których zeszły na drugi plan teatr, sztuka plastyczna i inne wiadomości lub plotki bulwarowe.

Sezon teatralny otwarty w pełni nie odznaczył się dotąd niczem. Sił dramatycznych i operowych świetnych nie wiele,—a znani tutejsi twórcy dzieł scenicznych nie dali żadnego potężniejszego dzieła. Jedynie wyróżniają się *Les deux Gosses* Décourcelles'a grane już od kilkunastu miesięcy.

Dramat ten do głębi wzruszający doczekał się przeszło 700 setnego przedstawienia i długo jeszcze będzie porywał widzów. Jest to historya nieszczęśliwej matki szukającej zagubionego syna. Nędzni cyrkowcy ukradli małe chłopie, a biedna matka dopiero po kilku latach poszukiwań odnajduje w niezwykłych okolicznościach opłakane dziecię.

W innych teatrach repertuar złożony jest przeważnie z wznowionych sztuk, które nie budzą wielkiego zaciekawienia.

Ruch książkowy olbrzymi zgromadził w ostatnich czasach tyle nowości, że przyszłą korespondencyę im poświęconą nadeślę wkrótce.

C. H.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Pani Stone wystąpiła w ślicznej *crême* sukni do figury, a figura ta, ładnie opięta, przedstawiała się tak kształtnie, że nie dziwiłem się naszemu Francuzowi, który, patrząc na te „kształty widne, lecz zakryte,“ robił wrażenie Dumasa z przed lat 30, kiedy był znacznie młodszy, niż w r. 1891: bo jeżeli wyrażenie „pożerać kogoś wzrokiem“ w ogóle brzmi trochę przesadnie, to w zastosowaniu do naszego szpakowatego lowelasa z nad Sekwany, kiedy się patrzał na powabną panią Stone, nie było przesadnem wcale: owszem, raczej wyrażało za mało, niż za wiele. Jeszcze piękniej, aniżeli matka, wyglądały jej córki, przybrane w luźne jasno-niebieskie bluzki marynarskie, przepasane paskiem, a za największą ozdobę mające białe odłożone kołnierze, mocno wycięte, tak, że całą szyję pozostawiały obnażoną. Szczególniej *mademoiselle Sophinette* wyglądała prześlicznie! Główka jej, ze swemi przepysznemi włosami blond, wykradającemi się z pod męzkiego kapelusika słomkowego o prostem rondzie, obszytego szeroką wstążką niebieską, zasługiwała na nazwę poemaciku, ja zaś, kiedym się jej przypatrywał teraz, mimowoli myślałem o tych wierszach szwajcarskiego poematu Juliusza, w których poeta, olśniony niezwykłą urodą swej ukochanej, powiada w zachwycie:

Myślałem, że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!...

Po dobrym kwadransie drogi słońcem, drogi, która podobna do naszego warszawskiego Zjazdu, szła pod górę, a prowadziła do miasta, znaleźliśmy się na szerokim bulwarze, który, gdyby nie był wysadzany wspaniałemi eukaliptusami, nie wiele by się różnił od bulwarów paryskich. Domy wysokie, trzy i czteropiętrowe; trotuary szerokie, wylane asfaltem; sklepy eleganckie, starające się naśladować szyk wystaw sklepów paryskich; szyldy francuskie, ozdobne i jaskrawe; narożne domy oblepione olbrzymiemi różnokolorowemi anonsami, na których słynne *Cacao van Houten* reklamowało się obok słynnego również *Chocolat Menier*, a paryski *Le Petit journal* chwalił się, że drukuje *Un million d'exemplaires tous les jours;* na całej ulicy zaś, która się nazywa szumnie *Boulevard Malakoff*, panował taki ruch, jak na drogorzędnych bulwarach paryskich. Wogóle wszystko zdawało się tu naśladować Paryż: począwszy od omnibusów i tramwajów, zupełnie podobnych do paryskich, a skończywszy na ulicznikach, sprzedających miejscowy dziennik *La Cravache*. Gdzieśkolwiek się obrócił, wszędzie słyszałeś: *La Cravache! Voilà la Cravache!* a gdyby nie to, że tymi *gavroche*'ami byli chłopcy arabscy, w czerwonych fezach na głowie, których nadto charakteryzowały bose nogi, można by myśleć chwilami, że się jest w Paryżu. Wszyscy przechodnie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, noszą się po europejsku, a cylinder króluje tak samo, jak nad Sekwaną. W kioskach, gęsto rozrzuconych wzdłuż trotuarów, a zupełnie podobnych do paryskich, widzi się wszystkie dzienniki stołeczne: *Le Figaro, Le Temps, Gil Blas, L'Echo de Paris, Journal amusant*, a przed kawiarnami, w cieniu wielkich markiz płóciennych, widzi się dwa rzędy stolików, które, wystawione na trotuar, a już zajęte po większej części, jeszcze i przez to czynią złudzenie Paryża, że nad jedną kawiarnią czyta się *Café Tortoni*, nad drugą *Café de la Paix*, etc. etc. Wszędzie słychać język francuski, który tu panuje tak wszechwładnie, że nawet starzy Arabi w fezach lub zawojach, trudniący się czyszczeniem butów, mówią po francusku. To samo dorożkarze, którzy także noszą się po europejsku, a o ile stoją na stacyach, siedząc na koźle, zaczytani w *Petit journal*'u lub w *L'intransigeant* Rocheforta? Ludzi, ubranych na sposób wschodni, prawie się nie spotyka. O ile sobie przypominam, na całym *Boulevard Malakoff* zdarzyło mi się widzieć dwie Arabki wszystkiego, ubrane w białe bufiaste stroje, z twarzami zasłoniętemi do połowy. Za to na stołach, wystawionych przed księgarniami i składami nut, widziałem wszystkie „nowości,“ wszystkie najnowsze powieści Zoli, Daudeta, Maupassanta i Bourgeta, a spojrzawszy na niebieskie okładki nut ze znanej *Edition Peters*, spotykałem się z nazwiskami Beethovena, Mozarta, Chopina, Griega, poważnie figurującemi obok partycyi oper Gounoda i Masseneta.

I dziwić się tu, że patrząc na to wszystko, jakoś nie mogłem pogodzić się z myślą, że to jest Afryka! Dopóki nie stąpałem po afrykańskiej ziemi, wyobrażałem sobie, że w Afryce widzi się przedewszystkiem murzynów, lwy i hyeny, a spotyka się z niemi, błądząc po spiekłych piaskach pustyni, lub w cieniu oazy, pod palmami, na których rosną daktyle lub kokosowe orzechy, a śmieszne małpy zwieszają się na ogonach; tymczasem, stanąwszy na ziemi Afrykańskiej, przechadzałem się po szerokim bulwarze, którego nazwa przypominała mi wojnę krymską, a zamiast murzynów, małp, hyjen i kokosowych orzechów, spotykałem mężczyzn w cylindrach, kobiety z szykiem Paryżanek, anonse *Cacao van Houten*, sonaty Beethovena, romanse Zoli, tramwaje i *Café Tortoni!*

Ale nie cały Oran odznacza się takim paryskim wyglądem. Już na *Place d'Armes*, który jest sercem miasta, czuje się Afrykę i wschód. Jest to bardzo piękny plac. Okolony wielkim czworobokiem pięknych domów i gmachów publicznych, z których najpiękniejszym i najokazalszym jest ratusz, a między któremi nie brak domów w stylu maurytańskim, zdobnych pstremi arabeskami, posiada olbrzymi skwer pośrodku, a ten skwer, zdobny dwiema ciągle bijącemi fontannami oraz mnóstwem palm i drzew pomarańczowych, jest jednym z piękniejszych skwerów, jakie mi się widzieć zdarzyło: gdyby nie te fontanny, przypominające paryski *Place de la Concorde*, i ci francuzcy żuawi, na których widok zaraz mi się przypomniał słynny *Marsz Żuaw* Osmańskiego, a których czerwone hajdawery i niebieskie bluzki zbyt jaskrawo pstrzyły się na licznych ławkach skweru, można by mieć chwilowe złudzenie, przypatrując się tym wspaniałym „lubieżnie przegiętym“ palmom, że się patrzy na uroczą oazę...

Cokolwiek bądź, jest ten skwer pod względem malowniczym, jako temat do słonecznego *plein air*'u, „poprostu bajecznym,“ jakby się wyraził Sienkiewicz. Bo co za nadzwyczajne nagromadzenie rzeczy malowniczych, a niepospolitych! Począwszy od tych białych lub bladożółtych domów w stylu maurytańskim, upstrzonych mozajkami i arabeskami, a skończywszy na tych fontannach, których woda, rozpylona w srebrnobiałe pióropusze, tak cudownie „robi“ pośród tych smukłych palm i egzotycznych krzewów! Jeśli się do tego doda malownicze stroje żołnierzy t. z. *turcos*'ów, którzy na tem egzotycznem tle znaczą się czerwono-błękitnemi plamami, to mimowoli, jeśli się na świat umie patrzeć oczyma malarza, chce się zapytać: *Mein Liebchen, was willst du mehr?* Cóż dopiero, kiedy się powie, że na wszystko to pada z głębokiego szafirowego nieba rzęsisty i oślepiający deszcz promieni słonecznych, promieni afrykańskiego słońca, deszcz, od którego mrużą się oczy, a termometr wskazuje 30 stopni Reaumura!

Ten skwer na *Place d'Armes* to poezya Oranu. Jego prozą są t. z. *Quartier juif* i *Quartier arabe*, a więc dwie dzielnice, żydowska i arabska.

O arabskiej dałoby się powiedzieć to samo— w stosunku do pięknego *Placu broni*—co Schiller powiedział o powieści: że jest *ein Halbbruder der Poesie*, czyli czemś pośredniem pomiędzy poezyą a prozą. W każdym razie, jak wszystko na tym świecie, jest to medal, który ma dwie strony. Pierwszą, dodatnią, stanowi czysto wschodni charakter tej dzielnicy: jej domy, bielone wapnem, o gładkich ścianach, małych okratowanych okienkach, płaskich dachach; jej bazary, pstrzące się w cieniu wielkich płacht płóciennych, rozpiętych na bambusowych tykach; jej meczety z maurytańskiemi portalami, charakterystycznie pół-kulistemi dachami z pół-księżycem, oraz smukłemi minaretami, których niekiedy po dwa lub trzy wystrzela po nad szczyt głównej kopuły; jej palmy, strzegące niektórych domów, a szare od słońca i kurzu; jej typowa ludność o oliwkowej cerze i kruczych włosach: mężczyźni w zawojach i białych lub granatowych burnusach, a kobiety w białych *robrontach*, z ogromnemi oczyma antylop, wyglądającemi z nad białych muszlinowych osłon: to jedna strona medalu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 3 powieści, p. t. ***Masarenowie***, przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD REDAKCYI.

W przyszłym roku w szpaltach „Bluszczu“ drukować się będzie

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez aut. powieści „Na Złotym Szlaku.“

Treść: **Boże Narodzenie** (rysunek). — **Pogawędka**, przez ??—**Nad starą księgą**, przez Włodzimierza Perzyńskiego.—**Nowe książki dla młodzieży i dzieci**, przez Szczęsną.—Kazimierz Gliński. **Wróci!** Powieść. (dalszy ciąg).—**Przyroda w poezyi**, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie**, przez C. H.—**Na morzu**, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: ***Masarenowie***, powieść, przez Ouidę, arkusz 3. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 36 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 10 Декабря 1897 г.